

lecz szczątki jego zmniejszające się i zanikające z każdą minutą.

Za chwilę pozostanie z niego tylko szkielet suchy, świecący fosforycznym bielmem kości.

Bernardet nie chciał już czekać na to ostatnie przeobrażenie. Przeczł, że napięcie duchowe nieznanego dochodziło do kulminacyjnego punktu — i że czas było już w niego uderzyć, aby wywołać gwałtowną reakcję.

Zresztą sam był tak wzruszony tem niespodziewanem spotkaniem, iż drżał z niecierpliwości, aby jaknajprędzej przekonać się, że się nie mylił, że przecucie jego było oczywistą prawdą.

Zachowanie się nieznanego o wielkim szarym kapeluszu stawało się coraz dziwniejszem i nienaturalnem. We wzroku jego, wlepionym w trumnę, Bernardet dojrzał przebliski szatu i rozpaczliwej trwogi.

Bernardet, chcąc otrząsnąć się z wrażenia, rozejrzał się po sali. Spojrzenia wszystkich gości pociągnięte były ku scenie, ale w żadnej twarzy nie dojrzał tego tragicznego wyrazu. Była w nich tylko ciekawość i lekkie zdenerwowanie. Dlaczegoż więc to widowisko tak osobliwe uczyniło wrażenie na nieznanym?

Rysy jego bladej twarzy kurczyły się w spazmie jakimś bolesnym, a w żrenicach, w których odbijały się światła ze sceny, gorzał ogień gorączkowy i silny.

— Ho! ho! Oko człowieka żyjącego — myślał Bernardet — to książka, w której tak czytać umiem, jak w żrenicy umarłego. Tamten mnie nie zawiódł, sądzę, że i na tym nie pomylił się również.

Tymczasem ponure widowisko rozwijało się dalej na scenie. Różnokolorowe światła coraz tragiczniej szym cieniem pokrywały tę sztuczną komedię śmierci.

Już teraz nie trup spowity w całun śmiertelny, lecz jakieś poruszające się oślizgłe szczątki gnijącego ciała leżały na dnie trumny, toczone przez potworne gady. Był to widok, który nie każde nerwy znieść mogły. Po sali rozchodził się szmer przyspieszonych oddechów zdenerwowanych kobiet do ostatnich granic.

Jakiś głos zduszony wzruszeniem przedarł ciszę: — Dosyć! Już dosyć!

W tej samej chwili Bernardet podniósł się na końcach palców, aby dosięgnąć ustami do twarzy nieznanego i szepnął mu w ucho, wolno wymawiając wyrazy:

— Oto, jak musi obecnie wyglądać ten nieszczęśliwy pan Rovere.

Twarz młodego człowieka przybrała straszny wyraz. Przesunął ręką po czole, na którym wystąpiły gęste krople potu, jak gdyby odegnąć chciał myśl jakąś natrętną. Zęby jego uderzały o siebie konwulsyjnym ruchem. Nie odwrócił się jednak, tylko cofnął się nagle w tył i patrzył dalej na scenę, z trudem chwytając ustami powietrze.

— Przypuszczam, że nie doszedł jeszcze do tak całkowitego rozkładu — szeptał dalej Bernardet, panując siłą nad radością, rozsadzającą mu piersi. — Ale to się stanie wkrótce i wtedy podobnym będzie do tego człowieka, leżącego w trumnie.

Słowa te odniosły pożądany skutek. Bernardet nie mógł marzyć o lepszym efekcie. Dreszcze gwałtowne przebiegały całe ciało nieznanego i zdawało się, że padnie lada chwila zemdłony na ziemię.

Już teraz Bernardet pewnym był wygranej.

Bo i dlaczegoż człowiek ten okazywał takie zmieszanie, usłyszawszy wymówione przy sobie nazwisko pana Rovere? Zapewne mógł być powiadomiony o zbrodni, bo wszyscy w Paryżu mówili o niej i rozchwytywali dzienniki, opisujące tajemnicze zdarzenie z ulicy Clichy, ale to było jeszcze za mało, aby do takiego stopnia wzruszyć kogoś, który wyglądał na energicznego i silnego człowieka. Nie musiał on należeć do tych, których sam widok udanej śmierci przyprawia może o mdłości i poty.

— Nie! — myślał Bernardet — ten zuch nie wygląda na tchórza i zdenerwowanego niewieściucha. Jeżeli jest do tego stopnia przejęty, to w tem musi być jakiś ważny powód.

Jeszcze z większem zaciekawieniem Bernardet po tak udatnej próbie badał skrupulatnie każdy muskuł, każdy nerw twarzy nieznanego.

Zauważył też, że silne wrażenie, wywołane usłyszeniem nazwiska pana Rovere, ustępowało powoli. Widocznie człowiek ten całą siłą woli i energii starał się opanować i doprowadzić organizm swój do normalnego stanu.

Ale ten pierwszy skurcz twarzy, to pierwsze zbuntowanie się nerwów, Bernardet zanotował sobie dobrze w pamięci. To był tragiczny moment, który mógł być dopiero początkiem scen dalszych. W tym niezapomnianym momencie nieznamy zdra-

dził się, zdradził cały swój niepokój, niepewność, wściekłość i strach rozpaczliwy.

Bernardet nie należał do ludzi, którzy ustają w połowie drogi. Był zdania, że należy kuć żelazo, póki jest jeszcze gorące.

Przysunął się jeszcze bliżej do młodego człowieka i rzekł od niechcienia, przybierając ton mowy dobrodusznego i żartobliwego:

— Niewesołe jest to ich osławione widowisko, nieprawdaż? Każdy z nas widział już lepsze.

— Zapewne, że nie jest wesołe — odparł nieznamy, starając się uśmiechnąć.

Ale uśmiech ten sztuczny zamienił się w skurcz nerwowy dolnej części twarzy.

Powolnym ruchem odwrócił głowę od sceny i rozejrzał się po sali.

— Ten biedny Rovere! — nalegał dalej agent.

Nieznamy zatrzymał teraz spojrzenie na nim. Zdawało się, że chce on przeniknąć myśli agenta i pojąć znaczenie jego słów. Wzrok jego był pytający, przenikliwy, ale przebijał w nim lęk i niepokój.

Bernardet z dobrodusznym, naiwnym wyrazem twarzy wytrzymał to spojrzenie, tak jakgdyby go nie rozumiał wcale. Nie chciał, aby nieznamy dostrzegł jego zainteresowanie się nim i tym sposobem zniweczył jego plany.

Przybrał więc wygląd pocziwego człowieka, który przejmując się bardzo denerwującym widokiem i postanowił milczeniem dalszem doprowadzić tamtego do przemówienia. Był bowiem pewny, że zacznie sam rozmowę i to na temat zręcznie przez niego poddany.

— Nie trzeba teraz, abym przyspieszał sprawę — medytował Bernardet — Otrzymałem już pierwsze wrażenie i rzuciłem niepokój w jego umysł. On sam teraz zwróci się do mnie i będzie się starał porozumieć ze mną.

Bernardet był dobrym psychologiem i nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. Po dosyć długim milczeniu nieznamy zwrócił się nagle twarzą do niego i zapytał suchym, urywanym głosem:

— Dlaczego mówi mi pan o panu Rovere?

— Ja? — odparł dobroduszenie Bernardet — Dlatego choćby, że wszyscy teraz o tem mówią. Mieszkam w tej dzielnicy i ta straszna katastrofa stała się niedaleko mnie... tutaj.

— Wiem! — odrzekł nieznamy.

— Więc i mnie to wstrząsnęło, pan rozumie — ciągnął dalej Bernardet — zawsze to nieprzyjemna historia, nieprawdaż?

— Zapewne.

— Pan musiał też o tem słyszeć?

— Słyszałem.

Nieznamy zwrócił się w stronę sceny, ale Bernardet widział dobrze, że nie interesuje się już widowiskiem. Spojrzenie niernuchome i błyszczące utkwiał w jeden punkt i nie zdawał się zwracać uwagi na to, co się wokoło niego działo.

— Trzymam cię już, mój ptaszku! — pomyślał agent z zadowoleniem — Już cię tak prędko nie wypuszczę z ręki. Zdradziłeś się teraz dwukrotnie.

Nieznamy rzeczywiście na słowa niedbale rzucone przez niego zapytał:

— „Dlaczego mówi mi pan o panu Rovere“.

Widocznie więc znał zmarłego i wiedział, kim był, skoro się wyraził „pan Rovere“. Słowo zaś „wiem“ było rzucone gwałtownie i z gniewem, tak, jakgdyby chciał tem powiedzeniem odrzucić daleko od siebie myśl jakąś natarczywą i niepokojącą.

— Gdybym był zapytał któregośkolwiek z tych ludzi przejętych widokiem — kombinował Bernardet — byłby mi odpowiedział po prostu „ten Rovere“ albo „sprawa Rovere“, ale to „pan“ dodane do nieznanego nazwiska daje mi wiele do myślenia. Pan Rovere?!

No, naturalnie, mówi się tylko w ten sposób o osobie dobrze znanej. W tem słowie rzuconem lekkomyślnie mieściła się cała tajemnica.

Nieznamy nie zdradzał już ochoty zawiązania dalszej rozmowy. To było widoczne. Odsunął się nawet lekko od agenta, lekając się, że ten znowu przemówi może do niego.

Tymczasem widowisko było już na ukończeniu.

Trup leżący w trumnie przeszedł już w stan szkieletu o świecących fosforycznie kościach, a żalobny impresaryo oznajmił widzom, że wkrótce pojawi się znowu pomiędzy żyjącymi na sali.

— Będzie nawet lepiej wyglądał niż poprzednio — dodał uśmiechając się ironicznie — Taka świetna próba śmierci doskonale działa na organizm i podnosi pragnienie życia i jego rozkoszy.

Zart ten zebrana publiczność przyjęła wybuchem śmiechu. Naciągnięte nerwy tych ludzi instynktownie szukały jakiejś reakcji. Każdy chciał najprędzej zrzucić z siebie ciężące wrażenie wywołane ponurem widowiskiem i powrócić do normalnego życia.

Tylko nieznamy, jeden pośród wszystkich, nie uśmiechał się wcale. Bledszy był jeszcze niż przed chwilą i częste drżenie przebiegało jego twarz i ciało.

— Nie trzeba przyzwyczajać się do widoku zmartwychwstania swojego bliźniego — ironizował dalej reżyser — Nie każdy bowiem byłby zadowolony z takiej nagłej niespodzianki, nieprawdaż? Umarli nie mają już miejsca pośród żyjących.

Skurcz gwałtowny, natychmiast zanwany przez Bernardeta, przebiegł twarz nieznanego na te słowa. Obłądnem spojrzeniem objął salę, jakgdyby szukał wyjścia do ucieczki.

— Coś niedobrego dzieje się z moim zuchem. — zauważył Bernardet — Gotów wszystko postawić na ostatnią kartę i umknąć mi z przed nosa. Muszę go dobrze pilnować.

Agent teraz rozmyślał głęboko nad tem, jakim sposobem odkryć jego nazwisko i dowiedzieć się, kim jest właściwie. Ale to nie było tak łatwe do przeprowadzenia.

Nagle myśl jakaś rozświetliła jego twarz zamysłoną.

— Spróbuję! — wyszeptał — Może mi się uda. W każdym razie n'c nie ryzykuję, a dowiedzieć się mogę tego, co mi potrzeba.

Pozostawiając więc nieznanego na sali, wysunął się z podziemia, zanim jeszcze trup z trumny zainscenizował pojawienie się swoje pomiędzy publicznością i roztrącając w niebardzo grzeczny sposób gości, torował sobie drogę do wyjścia.

Po kilku minutach znajdował się już na bulwarze. Odetchnął z ulgą i przystanął rozglądając się i badając wokoło otoczenie. Mgła gęsta zalegała ulicę i szarym cieniem pokrywała domy, przechodniów i przejeżdżające dorożki. W mgle tej dziwnie blade i anemicznie jaśniały latarnie gazowe.

Bernardet bystrem spojrzeniem starał się przeniknąć otaczający go półmrok. Szukał policyanta, wiedział, że niedaleko wyjścia „Kawiarni Szkieletów“ jeden lub nawet dwóch stać musi na posterunku.

Po dłuższej chwili dojrzał ich nareszcie.

Szli wolnym krokiem, rozmawiając, pod ręką ogołoconych z liści drzew, rosnących wzdłuż skweru.

Nie spuszczając wzroku z „Kawiarni Szkieletów“ prędko podszedł do nich.

— Dagonin! — rzekł do jednego z nich — Pójdiesz natychmiast za mną, mój przyjacielu i śledzić mnie będziesz, rozumiesz. Za chwilę pokłóć się na ulicy z jednym ptaszkiem i udawać będę pijanego. W danej chwili pojawisz się i zaaresztujesz nas obojwóch. Zrozumiałeś?

— Doskonale!

— A ja? — zapytał drugi policyant.

— Ty pilnuj ulicy i przyjdź z pomocą wtedy tylko, kiedy poznasz, że sam sobie z tamtym poradzić nie może.

— Dobrze Bernardet, możesz być spokojny!

— No, do roboty, Dagonin! — szepnął Bernardet — oglądając się ciągle na główne wyjście „Kawiarni Szkieletów“.

Publiczność wychodząca z widowiska tłumnie już zalegała chodniki, rozchodząc się w różne strony.

Bernardet, rzuciwszy swój rozkaz policyantom tonem stanowczym i pewnym, wykreślił się szybko, przebiegł ulicę i w kilku sekundach znajdował się już pod kawiarnią, śledząc bacznie twarz każdego przechodnia.

Głowę opuszczył na piersi, tak, że z pod nasuniętego głęboko na oczy kapelusza, widniał tylko jego nos gruby i czerwony.

Czekał już parę minut przy drzwiach, oglądając bacznie każdego przechodzącego, a nieznanego nie widział jeszcze. Cóż się z nim stać mogło? Bernardet zaczął się nie na żarty niepokoić. A może nieznamy zatrzymał się tylko wychodząc z podziemia do górnej sali? Otworzył więc drzwi i spojrzał do środka. Młody człowiek o szarym kapeluszu siedział przy jednym ze stolików w kształcie trumny i popijał absynt, stojący przed nim w dużej szklance.

— Oho! — pomyślał Bernardet — Coś niedoobrze z nim być musi, bo czuje potrzebę pokrzepienia się i nabrania sił. Niema co, zaczekam, aż skończy i wyjdzie.

Zamknął ostrożnie drzwi, aby nie wzbudzić jego uwagi i stanął na dawnym miejscu.

Nie czekał zbyt długo. Przesunęło się jeszcze kilku zapóźnionych gości i nareszcie drzwi kawiarni otworzyły się znowu, dając przejście nieznanemu. Wyszedł przed kawiarnię i nasunawszy głęboko na oczy szary kapelusz o szerokich skrzydłach, zaczął się rozglądać wokoło, w ten sam sposób, jak to przed chwilą czynił Bernardet.

(Dalszy ciąg nastąpi)